

PRAWA CI SIĘ ZACHCIEWA

Iryna Słaunikawa

W areszcie zaczynałyśmy dzień jak małpki w stadzie - od przeglądania włosów jedna drugiej na wypadek wszy. Musiałyśmy stale błagać o podpaski higieniczne. Odmówiono nam papieru toaletowego. Klawisze dworowali sobie, że przecież mało jemy, to i do toalety nie musimy chodzić.

Iryna Słaunikawa (rocznik 1970)

Dziennikarka z trzydziestoletnim stażem, w Bielsacie pracowała od początku istnienia stacji; od 2006 roku, przez osiem lat, jako wydawca programów informacyjnych w Warszawie. Od 2019 roku była oficjalną przedstawicielką TV Bielsat i koordynatorką pracy dziennikarzy Bielsatu w Mińsku. Po aresztowaniu ekipy Bielsatu (z Kaciaryną Andrejeuną i Darją Czulcową) relacjonującej protest w Mińsku w listopadzie 2020 roku KGB wiosną 2021 roku zlikwidowało nieoficjalne studio Bielsatu w Mińsku, a latem, po obławie na dziennikarzy mediów niezależnych, większość zatrudnionych w nich redaktorów wyjechała na Ukrainę i na Litwę. Iryna Słaunikawa pozostała jednak na Białorusi. Aresztowana na lotnisku w Mińsku 30 października 2021 roku, gdy wracała wraz z mężem z urlopu w Egipcie. 3 sierpnia 2022 roku skazana przez sędziego Mikajaja Dolę z artykułów 342 i 361-1 na pięć lat kolonii karnej.

Dlaczego - wiedząc już doskonale, jak niebezpieczna jest sytuacja na Białorusi dla niezależnych dziennikarzy - zdecydowałaś się pod koniec 2021 roku wracać tam po urlopie?!

Trzeba zacząć od tego, że w tym czasie byłam oficjalną przedstawicielką Bielsatu w Mińsku, a ponieważ naszych dziennikarzy coraz częściej prześladowano, to chodziłam na wszystkie posiedzenia sądów, udzielałam komentarzy mediom... Pamiętam, że w momencie, w którym weszły w życie artykuły Kodeksu karnego dotyczące ekstremizmu, omawiałam je z Jelizawietą Eljanawą, naszą prawniczką, i mówiłam, że teraz to właściwie mogą każdego posadzić. Sama się przy tym pocieszałam, że może mi jednak nic nie zrobią, bo przecież nie popełniłam żadnego przestępstwa, nawet podatki porządnie na Białorusi płacę. Tak to człowiek sam się uspokaja... A gdy zatrzymali Kacię Andrejeuną i Daszę Czulcową podczas relacjonowania dla Bielsatu spontanicznych protestów po zakatowaniu na śmierć plastyka Ramana Bandarenki był to dla mnie straszny cios. Byłam cały czas w kontakcie z ich rodzicami i z mężem Kaci. Mieliśmy nadzieję, że może jednak to wszystko skończy się na jakiejś wielkiej grzywnie, może na wyrokach w zawieszeniu. To był pierwszy przypadek w historii Białorusi, by dziennikarza aresztowano po prostu za wykonywanie obowiązków służbowych. Robiliśmy wszystko, co mogliśmy, by dziewczyny uniknęły wyroku, ale niestety...

Władze były bardzo cięte na Bielsat. Głównie za to, że Bielsat relacjonował na żywo wszystkie pokojowe protesty i zawsze miał obszerną

widownię... Tak że to był proces pokazowy. Już wtedy moi rodzice i wiele innych osób mówiło mi, że chyba czas wyjechać i nie wracać, ale ja miałam poczucie, że nie mogę zostawić rodziców Kaci i Daszy... A poza tym wtedy wciąż jeszcze, całkiem już w ukryciu, pracowało na Białorusi kilku naszych kolegów. Wydawało mi się, że gdybym wyjechała i ich zostawiła, to byłaby zdrada. A tak to wciąż widzieli, że coś jeszcze z Biełsatu pozostało na Białorusi, że jest się na kim oprzeć... Chciałam, żeby czuli jakieś wsparcie.

Swoją drogą pamiętam, że gdy już mieliśmy wsiadać do samolotu po wakacjach w Egipcie, tęsknie przyglądałam się tablicy, na której było wiele lotów do Turcji... Gdybym wtedy choć zająknęła się mężowi, że nie chcę wracać, to byśmy nie wrócili. No ale nie posłuchałam swojej intuicji i musiałam przejść tę drogę, którą ostatecznie przeszłam.

Jak wyglądało twoje aresztowanie?

Najpierw, w sierpniu 2020 roku, podczas jednej z akcji zatrzymano mojego męża. Ukarano go tylko grzywną, ale było jasne, że trafił do odpowiedniego spisu, który oczywiście za każdym razem przeglądają przy przekraczaniu granicy. Po prostu zwracają szczególną uwagę na takich ludzi. W związku z tym umawialiśmy się zawsze tak, że granicę przekraczamy osobno, to znaczy stajemy w różnych kolejkach do kontroli paszportowej, zwłaszcza że nazwiska mamy inne, i na czas przekraczania granicy on mi oddaje swój telefon. Wracając z Egiptu, postępowaliśmy tak samo.

Wylogowaliśmy się już ze wszystkich swoich kont, on oddał mi ten telefon i po wyjściu z samolotu szłam korytarzem w kierunku kontroli paszportowej. Przechodząc, zauważyłam oficera wojsk pogranicznych z jakimiś papierami, na sekundę nasz wzrok się spotkał i usłyszałam, jak mówi do krótkofalówki: „ona idzie” (śmiech). Mam dość charakterystyczne uczesanie... zrozumiałam, że raczej się nie pomylił, czyli że jednym słowem – to już. Nic nie powiedziałam mężowi, stanęliśmy w różnych kolejkach, a gdy tylko doszłam do okienka, pojawił się funkcjonariusz GUBOPiK-u. Odprowadzono mnie do pokoju, w którym już byli inni zamaskowani funkcjonariusze. Byli dość agresywni, schwycili mój plecak, telefony. „No i co, doigrałaś się” – skomentował jeden z nich. „A czemu tak długo?” – zażartowałam, bo przecież był już koniec października 2021 roku. Potem trwały jeszcze jakieś formalności, wciąż miałam nadzieję, że mężowi udało się przejść bez przygód. Potem wyjściem służbowym

wyprowadzili mnie z lotniska do samochodu i zawieźli do Rejonowego Oddziału Spraw Wewnętrznych.

A jak traktowali cię milicjanci?

Z ich sposobu zachowania można się było od razu zorientować, iż są w pełni podporządkowani funkcjonariuszom GUBOPiK-u. Postawili mnie twarzą do ściany, posypały się rozmaite żarty na temat mojego wyglądu. Dowcipy w stylu: „Patrzcie na tę podstarzałą Pocahontas”. W końcu jakiś funkcjonariusz GUBOPiK-u, najwyraźniej dowódca, polecił, by mnie filmować. Pytali o imię, nazwisko, miejsce pracy, ale chyba im się nie nagrało, bo kazali mi powtórzyć. Zapytałam: „Na jakiej podstawie prawnej nagrywacie?”.

„Ach tak?” – odparł jeden z funkcjonariuszy – „no to idziemy...”. Wyprowadzono mnie do pokoju, w którym ludzi rozbiera się do naga i przeprowadza rewizje osobiste. Tam nie ma kamer. Wpuszczono mnie przodem i gdy wchodziłam, poczułam uderzenie w okolice szyi, najwyraźniej kantem dłoni. Nie upadłam, tylko tak przysiadłam. Funkcjonariusz powiedział wtedy: „A ty co? Najmądrzejsza taka? Prawa ci się zachciewa, tak?! Już ja ci pokażę twoje prawo... Jak będziesz się stawiać, to cię zgnoję w piwnicy KGB”. Mówił też inne rzeczy w tym rodzaju. Ale potem, już jak mnie filmowali, to nie zadawali pytań, tylko filmowali twarz. Myślę, że to było potrzebne do programu rozpoznawania twarzy.

I co dalej? Padły jakieś zarzuty?

Potem milicjanci zaczęli wypełniać papiery dotyczące zatrzymania. Jako formalny powód wpisano „publikowanie na Facebooku treści ekstremistycznych”. Tymi treściami był program „Mam prawo”, który kiedyś redagowałam. Kiedyś – bo oczywiście, zdając sobie sprawę z sytuacji, już od dawna niczego w sieciach społecznościowych nie umieszczałam, ale tamte programy to już były tak stare, że nawet mi nie przyszło na myśl je wykasować... Po wypełnieniu papierów wpakowano mnie do tak zwanego *stakanu*¹. To maleńka cela, metr na metr dwadzieścia, taka zamknięta szafa, gdzie jest tylko betonowy stopień do siedzenia i z trudem mieszczą się kolana. Przylecieliśmy prosto z Egiptu, więc lekko ubrani, bo na lotnisku miał na nas czekać mój ojciec... To był już 30 października – chłodno

¹ Stakan (ros. стакан) – dosł. szklanka.

było na tym betonie... W pewnym momencie usłyszałam głos mojego męża. Najpierw myślałam, że pewno mnie znalazł i przyjechał, a potem zorientowałam się, że też został zatrzymany. Muszę oddać sprawiedliwość funkcjonariuszowi, który miał wtedy dyżur, że jak poskarżyłam się, iż mi zimno, przyniósł jakiś ręcznik, żebym na nim usiadła, i powiedział, że to jedyne, co ma. Przyniósł też wodę i przekazał mi od męża czekoladkę.

A dalej czekał już kolejny rozdział, czyli Akreścina?

Tak. 31 października wywieźli nas do cieszącego się złą sławą aresztu na Akreścina. Postawili nas na dziedzińcu: ręce na ścianę, dłonie odwrócone na zewnątrz. Wtedy zrozumiałam, że wszystko, co mówiono na temat aresztu na Akreścina, było prawdą. Krzyki milicjantów, przekleństwa, groźby... Zabrali nam wszystkie rzeczy, wtedy też po raz pierwszy zetknęłam się z tym, co nazywają w języku więziennym *gołuj szmon*, czyli rewizją osobistą, przy której jest się rozbieranym do naga, trzeba robić nago przysiady i tak dalej. Potem znów zapakowano mnie w *stakan* razem z jakąś alkoholicką, którą mdliło i która w końcu zwymiotowała. W końcu mnie wyprowadzili, kazali podpisać odebranie pościeli, choć oczywiście żadnej nie dali, i wsadzili mnie do celi – dość dużej, ale spało się tam tylko na gołych deskach.

Ale dali już jakieś ubranie?

Nie. Wszystkie rzeczy zabrali do przechowalni. Chyba jednak sezon grzewczy już się zaczął i nie było tak strasznie zimno w celi. Następnego dnia odbył się sąd administracyjny za ten wpis na Facebooku. Zobaczyłam się wtedy na chwilę z mężem. Miałam już adwokatkę, ale, jak wiadomo, jej głos w trakcie procedury nic nie znaczył. Oboje z mężem dostaliśmy po 15 dni aresztu i zaczął się kolejny ciekawy rozdział, czyli mój pobyt w drugiej części aresztu na Akreścina zwanej Centrum Izolacji Zatrzymanych – dwa budynki dalej.

I co? Znowu kazali podpisać, że wydano pościel?

Oczywiście. Znowu się upominałam, ale tylko mnie wyganiali. Znów cyrk z tym rozbieraniem do naga, wyciąganiem sznurowadeł, pasków itp. Wchodzimy na drugie piętro, otwierają drzwi i pierwsze wrażenie jest takie jak przy wejściu do łaźni, takie uderzenie gorącego, wilgotnego powietrza. Cella była bardzo mała – na dwie osoby – i widzę, że dosłownie

na każdej powierzchni płaskiej, jaka tam jest, siedzą kobiety. Mnie tam wepchnęli jako 12. albo 13. I słyszę: „Witamy”. To była cela, gdzie siedziały kobiety z artykułów politycznych. „A gdzie ja będę spać?” – zapytałam, bo tam nie było absolutnie niczego, ani materaca, ani koca, żadnej pościeli, nawet ręcznika... W areszcie milicyjnym były przynajmniej nary całościowo zbite z desek, gładkie, a tu była żelazna rama, pomiędzy którą były pięciocentymetrowe metalowe pręty i na tym jakieś takie coś typu papier. W ogóle nie dało się na tym spać. Któraś z kobiet popatrzyła i powiedziała: „Pani jest taka filigranowa, to zmieści się pani pod stołem. W nocy calusienka podłoga była zajęta leżącymi kobietami, jedna ściśnięta obok drugiej. Trzeba wziąć pod uwagę, że tam była jeszcze ubikacja i ta dziura też zajmowała miejsce. Przy tym w celach dla więźniarek politycznych nie wyłączano światła całą noc. O 22 ogłaszano ciszę nocną, ale o drugiej i o czwartej były pobudki. Wszystkie musiały wstać i zameldować się, podając swoje imię, nazwisko i patronimikum. No i podczas tych 15 dni więźniom politycznym nie wolno dostarczać paczek. Jesteś tam więc bez szczoteczki do zębów, pasty, szamponu, ręcznika. No i kobiety muszą po prostu błagać o podpaski higieniczne. Nie wyprowadzają cię też pod prysznic ani na spacer.

To po prostu męczarnia. Trudno to sobie wręcz wyobrazić.

A przy tym tam siedziały księgowe, uczone, na przykład chemiczka i historyczka z doktoratem, wyżej postawione menedżerki jakichś firm, studentki... Naprawdę świetne kobiety. W celi utrzymywałyśmy absolutną czystość, w końcu spałyśmy na gołej podłodze. Kilka razy dziennie myłyśmy roztworem chlorku wszystkie powierzchnie, podłogę, ściany... Ale co jakiś czas podsyłano nam do celi bezdomne...

Które miały wszy?

Tak. A że wiele z nas miało długie włosy, to zaczynałyśmy dzień jak małpki w stadzie – od przeglądania włosów jedna drugiej na wypadek wszy. Mnie się udało, bo miałam krótkie włosy. Trzeba sobie uzmysłwić, że przyjeżdżasz tam tak, jak stoisz, absolutnie bez niczego, bez zmiany bielizny na przykład. W związku z tym w celi był taki plastikowy woreczek z zostawionymi rzeczami. Te, które zwalniano, zdejmowały z siebie to, co mogły, i zostawiały dla innych. W pewnym momencie dziewczyny zaproponowały mi, że mogę dostać z tej torby majtki. Oczywiście czyjeś

używane, ale wyprane... No i masz taki mały dylemat: brać czy nie... Potem dostałam jeszcze koszulkę i skarpetki na zmianę. Z początku miałam też w charakterze ręcznika kawałek szmatki wielkości chusteczki do nosa, ale potem ktoś wychodził i zostawił większą. W końcu siedziałam na Akreścina 35 dni, byłam już starą więźniarką... Dwa razy po 15 dni i jeszcze pięć, kiedy czekałam, już po postawieniu zarzutów karnych, na przewiezienie do aresztu śledczego. Tak że byłam już prawie jak *wor w zakonie*. Dojrzałam nawet do normalnego ręcznika.

A jak można było uprać i wysuszyć cokolwiek w takim ścisku?

Tam były mocno grzejące kaloryfery. Tak że przez noc wszystko wysychało. Inna rzecz, że na gołej podłodze i tak było chłodno..., ale że było ciasno, to przytulając się, grzałyśmy się wzajemnie. Któregoś razu kobiety zaproponowały mi szczoteczkę do zębów, wiadomo, że też używaną, ale ja ją mydłem wyszorowałam i gorącą wodą spłukałam i już miałam. Tyle że obecnie dość rozpowszechnione jest noszenie aparatów korygujących zgryz, no i tam dwie dziewczyny miały te aparaty, więc zaproponowano mi, żebym albo tę szczoteczkę którejś z nich oddała, albo wspólnie z nią czyściła zęby... No to ostatecznie zdecydowałam się oddać i zęby próbowałam czyścić palcem. I była jeszcze taka historia, że jednego razu zmiana odmówiła nam wydania papieru toaletowego. Klawisze dworowali sobie, że przecież mało jemy, to i do toalety nie musimy chodzić... „Po co wam ten papier?” – pytali drwiąco. Wtedy ogłosiliśmy głódówkę. W rezultacie wszystkie bez wierzchniego ubrania wyprowadzono na dwór i tam nas zostawili na jednym ze spaceriaków. To była prawie połowa listopada. Mniej więcej po półtorej godziny dziewczyny zaczęły się łamać i ostatecznie wróciłyśmy do celi.

Na szczęście pozwalano przekazywać paczki z lekarstwami i mnie w ten sposób, przez adwokata, rodzice przekazali Hematogen (baton odżywczy stosowany przy niedożywieniu i niedokrwistości) i środek na wszy...

Po 15 dniach, z tego co mówisz, cię nie wypuścili...

Gdzieś tak 13. czy 14. dnia zawieźli mnie na kolejną rozprawę, znów do Pierwomajskiego Oddziału Spraw Wewnętrznych. Tam ponownie zobaczyłam męża, który zdążył powiedzieć, że najprawdopodobniej będzie kolejny „protokół”, czyli kolejna kara administracyjna. Tym razem za

niepodporządkowanie się milicjantom. Mnie prowadzili z rękami skutymi za plecami, ale normalnie, lecz gdy patrzyłam, jak męża prowadzą czy raczej ciągną w pozycji „jaskółki” (w pozycji wpeł pochyłonej, ciągnąc do góry za skute z tyłu ręce), to serce mi się krajało. No i dostaliśmy znów 15 dni. Wtedy jeszcze miała miejsce jakaś pomyłka, bo na jeden dzień umieszczono mnie w celi z alkoholiczkami i w związku z tym jedną noc spałam na materacu... Potem już mnie skierowali do celi, w której uprzednio siedziałam.

A czy na Akreścina byli jacyś normalni strażnicy, nie sadyści?

Byli, choć ze zrozumiałych powodów wolę nie podawać nazwisk. Byli na przykład tacy, którzy gdy podchodzili w nocy do celi na sprawdzenie, mówili cicho: „nie wstawajcie, leżcie...”. Była też jedna kobieta kalifaktorka – roznosząca jedzenie – która dawała dodatkowy chleb czy więcej kisielu. „Bo mi was tak żal” – mówiła... Ale większość traktowała więźniów bezwzględnie i brutalnie. Trzeba sobie powiedzieć jasno: Akreścina to naprawdę piekło.

W pewnym momencie zaczęło mnie bardzo swędzieć całe ciało. Wezwałam felczerkę, a ta mi powiedziała tylko, żebym mniej zażywała witaminy, i chyba dała mi jakiś preparat antyhistaminowy. Niestety świąd się nie zmniejszył...

Kiedy kolejne 15 dni dobiegało końca, zawieziono mnie do Komitetu Śledczego i postawiono mi zarzut uczestnictwa w masowych protestach. Wtedy była już ze mną adwokatka, która zresztą przedarła się też wcześniej na sąd administracyjny, i przyniosła mi od rodziców między innymi coś do jedzenia.

Czy wiesz, dlaczego trzymano cię tak długo na Akreścina, skoro przecież chcieli ci zrobić sprawę karną?

Zastanawiałam się nad tym potem i myślę, że to z tego powodu, iż miałam wszystko bardzo dokładnie zakodowane, wszystkie telefony, komputery... Zresztą komputera ostatecznie nie udało się im otworzyć. Próbowali po prostu cokolwiek znaleźć. W Komitecie Śledczym wszystko przebiegało bardzo formalnie i według prawa. Na przykład śledczy nie rozpoczynał niczego bez adwokata, pozwolił nam na rozmowę, pozwolił mi się przebrać i zjeść to, co przyniosła adwokatka. A potem znów powrót na Akreścina, tylko już do innej części, nie tej, gdzie siedzą osoby z wyrokami

administracyjnymi, lecz do innej, w której siedzą aresztanci z zarzutami karnymi. W celi były osoby oskarżone z różnych artykułów: narkotyki, oszustwa... No ale gdy w celi pojawia się polityczna, to wszystkim zabierają materace.

To chyba osadzone tam miały nienajlepszy do ciebie stosunek?

Nawet nie. W końcu wszyscy wiedzą, jak jest i że to nie politycznej wina. W tej części aresztu już wszystkie wiedzą, że szybko stamtąd nie wyjdą i czeka je tylko Waładarka. No i właśnie tam poskarżyłam się znowu, że wciąż swędzi mnie całe ciało. Na to dziewczyny pytają: „A ty wszy nie masz?”. „A jak to poznać?”. Dziewczyny obejrzały moją głowę. „Nie – mówią – we włosach nic nie masz, ale przejrzyj ubranie. Wywróć ubranie na lewą stronę i tak pstrykaj, jak coś zobaczysz między paznokciami”. No więc próbuję każde zmechacenie, kuleczkę na ubraniu, ale nic nie pstryka... „Jak ściśniesz wesz, to od razu zrozumiesz, że to wesz” – mówią. I faktycznie, nagle pstryk i tryumfalnie krzyczę: „jest weeesz!” (śmiech). Okazało się, że miałam alergię na ukąszenia wszy. Zawołałam felczerkę, na szczęście to była jedna z tych bardziej współczujących. Zgodziła się wydać mi lekarstwo na wszy z mojej paczki i przyniosła plastikowy worek. Kazała włożyć tam ubranie razem z tym środkiem, a rano zażądać odprowadzenia na dalszą dezynsekcję i tak zwane „prażenie”. Wkłada się ubrania do takiej szafy, gdzie jest bardzo wysoka temperatura. Następnego dnia rano wołam strażnika i mówię o wszach. No a ten: „A jakie tam wszy. Siedzieć i nie zawracać głowy”. Ostatecznie trafiła do niego argumentacja, że przecież będę wywieziona do aresztu śledczego na Waładarkę. „I co – mówię do niego – chce pan, żebym tam z wszami do nich przyjechała?”. W końcu zaprowadził mnie pod prysznic. Na Akreścina są naprawdę duże prysznice i dopóki obrabiano moje rzeczy, mogłam sobie stać 40 minut pod ciepłą wodą. Wróciłam i chwalebę się dziewczynom: „Stałam 45 minut pod ciepłą wodą. Powinnyście wszystkie powiedzieć, że macie wszy”.

Jak przebiegała sama sprawa?

Ostatecznie sąd odbywał się w Homlu. Przewieziono mnie z Waładarki do SIZO w Homlu.

Na świadka wezwano między innymi Kacię Andrejeuną, której drugi proces odbywał się zresztą w tamtym czasie piętro wyżej, i Daszę Czulkową, którą przywieziono z kolonii. Obie jednak nie zeznały niczego

istotnego. Głównym świadkiem oskarżenia okazał się natomiast Andrej Lipow, od którego Bielsat podnajmował studio i który fałszywie zeznał, że byłam odpowiedzialna za wszelkie decyzje: zarządzanie studiem, obrót finansowy, że podobno coś uzgadniałam ze strażakami, przekazywałam klucze i tak dalej. Zadałam mu w czasie rozprawy pytanie, ile razy mnie widział, bo tak naprawdę widzieliśmy się tylko raz.

WYPROWADZONO MNIE DO POKOJU BEZ KAMER. GDY WCHODZIŁAM,
POCZUŁAM UDERZENIE W OKOLICE SZYI, NAJWYRAŹNIEJ KANTEM DŁONI.
NIE UPADŁAM, TYLKO TAK PRZYSIADŁAM.

Było chyba pięć posiedzeń. Prokurator zażądał czterech lat. Potem występował mój adwokat, który przemawiał prawie cztery godziny i bardzo szczegółowo rozniósł całe oskarżenie w pył. Był tak przekonujący, że właściwie powinnam była zostać uwolniona bezpośrednio z sali sądowej. A tu po wystąpieniu adwokata, na kolejnym posiedzeniu, nagle prokurator prosi o głos, by złożyć wniosek, i oświadcza, że wysłuchawszy przemówienia obrońcy, utwierdził się w przekonaniu, że Iryna Słaunikawa jest osobą szczególnie niebezpieczną dla społeczeństwa, oraz doszedł do wniosku, że trzeba ją izolować nie przez cztery, ale przez sześć lat... Mój adwokat odwraca się do mnie i mówi, że pierwszy raz w życiu styka się z czymś takim. Na ogłoszenie wyroku przyjechali moi rodzice, moi krewni, którzy mieszkają w Homlu, ciocia, siostra cioteczna z mężem, bielsatowska prawniczka Jelizawieta i jeszcze kilka osób. Ojciec i moi przyjaciele przychodzili już wcześniej na każde posiedzenie sądu. Sędzia Sądu Okręgowego w Homlu Miłkołaj Dola ogłosił wyrok – pięć lat kolonii karnej.

Miałaś jakąkolwiek nadzieję, że apelacja coś da?

Oczywiście, że nie, ale zdecydowaliśmy z adwokatem, że warto to zrobić, żebym jak najdłużej przebywała w areszcie śledczym, a nie w kolonii – i ze względu na lepsze warunki, i ze względu na to, że zgodnie z przepisami dzień pobytu w areszcie liczy się przy odbywaniu wyroku jako półtora dnia.

Ale ostatecznie tak czy inaczej musiałaś się znaleźć w kolonii karnej.

Do kolonii karnej przywieziono nas w grudniu 2022 roku. W sumie chyba z 10 kobiet, więźniarką, bo to niedaleko. Od razu na wstępie dyżurny

do spraw wychowawczych, przeglądając sprawy, gdy doszedł do mojej, oznajmił: „O! Z tobą to my się bliżej poznamy”. Ten funkcjonariusz bardzo lubił przepytawać polityczne ze słów oficjalnego białoruskiego hymnu. Musiałam się w związku z tym go nauczyć, żeby uniknąć dodatkowych kłopotów. Nawet chyba zaplusowała u niego, bo kiedyś przechodził koło mojego stanowiska pracy, siedziałam przy maszynie do szycia, i zapytał: „No jak, Sławnikowa, słowa hymnu?”. Ja mu na to, że „w trakcie”, i pokazuję, że na maszynie do szycia wisi przyczepiona kartka z tymi słowami. „Zuch dziewczyna” – pochwalił (śmiech).

MIĄŁAM JUŻ ADWOKATKĘ, ALE, JAK WIADOMO, JEJ GŁOS W TRAKCIE PROCESU NIC NIE ZNACZYŁ.

Najpierw oczywiście były dwa tygodnie kwarantanny, podczas której trzeba się nauczyć wszystkich regulaminów, zakazów i nakazów. Wykonywano podstawowe badania lekarskie. Tam też zaczynają ci się przyglądać. A potem odbywa się duże posiedzenie komisji, na którym są i naczelnik obozu, i jego zastępca, i szefowie różnych działów obozu, i przedstawiciele fabryki. Wiadomo, że w zasadzie sprawa jest przesądzona, ale to niby na tej komisji decydują, do którego oddziału cię przypisać. Na tej komisji naczelnik zapytał mnie, czemu nie poszłam pracować do państwowej telewizji BT. „No cóż – mówię – chyba wakatów nie było”. Potem było rytualne „kazanie”, że trzeba tu przestrzegać regulaminów i zachowywać się przyzwoicie. Ja na to, że przez rok w Areszcie Śledczym nie miałam żadnego naruszenia. „Ale u nas tu nie areszt i nie Waładarka” – pouczył mnie naczelnik. I dodał: „Jeżeli będziesz tu prowadzić jakąś robotę polityczną i komuś coś opowiadać, to zauważymy. Będziemy ci się przyglądać”.

Jakie były warunki w kolonii?

Mój oddział czwarty mieścił się w starej części kolonii i barak był bez fundamentów, więc na parterze, zwłaszcza zimą, było strasznie zimno. Kiedy przyjechałam, to zanim rodzice zdążyli przekazać mi jakąś paczkę, po prostu nie dawało się spać, pomimo że na noc zakładałam na siebie wszystko, co można, i przykrywałam się kołdrą. Jak mi opowiadano w areszcie, że w kolonii jest zimno, to nie rozumiałam, o czym mówią, do czasu, gdy sama tam nie przyjechałam. W sypialniach, w których spało mniej więcej po 30 kobiet, było może 15 stopni. Polityczne zawsze

musiały spać na górze, bezpośrednio przed drzwiami. Cały oddział liczył 95 kobiet. Były dwa prysznicze, sześć umywalk oraz cztery ubikacje. Ale tu mi się poszczęściło, bo były normalne sedesy i kabiny. Więźniarki swoje rzeczy muszą trzymać w magazynku zwanym *kapciorka* albo *kieszarka*. Tam polityczne, czyli dziesiątą grupą w klasyfikacji penitencjarnej, mogą kłaść swoje rzeczy tylko pod sufitem, na piątym poziomie. Tak że ciężkie torby można zdjąć tylko z pomocą drabiny. Takie różne drobne przykrości robi się politycznym nieustannie. Na początku naczelniczką oddziału była Maryja Siarhiejeuna Szumihaj, która bardzo źle się do mnie odnosiła. To się przejawiało na rozmaite sposoby. Była na przykład taka sytuacja, że musiałam podpisać coś u notariusza. Udało się po długich korowodach, podaniach i prośbach załatwić zezwolenie na przyjazd, a z drugiej strony umówić tę notariuszkę. Notariuszka przyjechała. Przychodzi naczelniczka i mówi: „Słaunikawa, do ciebie chyba notariusz przyjechał...”. „Tak – mówię – czekam na notariusza”. „No tak – odpowiada Szumihaj – ale ja teraz nie mam czasu, aby cię do niej prowadzić”. I tyle. Notariuszka pojechała.

Jak wygląda zwykły dzień w żeńskiej kolonii?

Wszystkie więźniarki, jeśli nie są na emeryturze, pracują. Pracowałyśmy w wielkiej szwalni, szyłyśmy głównie elementy odzieży mundurowej dla milicjantów i wojskowych. Szyłyśmy jakąś nieskończoną liczbę zimowych kurtek wojskowych. Podejrzewam, że były to kurtki dla rosyjskiej armii, bo szyłyśmy je tysiącami. Takiej liczby wciąż nowych kurtek białoruska armia nie potrzebuje. Pracuje się na dwie zmiany – jeden tydzień na jedną, a kolejny na drugą.

Pobudka o szóstej rano. Ma się 20 minut, by się ubrać i zaścielić łóżka według ustalonego wzorca – potem chodzą i mierzą, czy od brzegu pryczy do złożonej w odpowiedni sposób kołdry jest 20 cm. Jeśli nie, to rozwalają to wszystko i ścielisz od nowa. Formę ubrania ogłaszają przez radio. Są cztery obozowe formy ubrania z przypisanymi im numerami. Pierwszy – sukienka, drugi – spódnica i kurtka, czyli rodzaj pokracznej marynarki, trzeci – sukienka i marynarka, a czwarty – waciak, spódnica, a także marynarka. Z głośników słyszysz na przykład: „Pobudka. Więźniarki – przystąpić do codziennych zadań. Forma ubrania nr 3”. Po 20 minutach wymarsz na śniadanie. Na posiłek 15 minut i powrót. Wracasz do działu. Jeśli dasz radę, próbujesz umyć zęby albo zrobić sobie kawę.

Jak mówiłaś, w oddziale są cztery toalety i sześć umywalk. Jak 95 osób jest się w stanie umyć i oporządzić w takim czasie?

No, daje się... Wierz mi, jak ktoś chce, to się umyje. Na przykład stoisz w kolejce do toalety i w tym czasie myjesz zęby, na chwilę podchodzisz do którejś umywalki, prosisz, by ci ktoś pozwolił wypłukać... Do dwóch natrysków były zapisy i odpowiednia kolejka. Prysznic wypadał raz na tydzień. Tam robisz wszystko z taką szybkością, że sama byś w to nie uwierzyła. Jak automat. Starasz się wszystko zaplanować: i zabranie rzeczy z kieszarki, i włożenie ich z powrotem, i włączenie czajnika, i napisanie choć kawałka listu. Jak coś ci ten plan zakłóci, to wszystko leci na twarz...

O 7.00 apel. Cała kolonia stoi na zewnątrz i jest sprawdzana po nazwisku. Funkcjonariusze przechodzą z listami wzdłuż szeregów, wyczytują nazwiska, a ty musisz podać imię i *otczestwo*. To zajmuje jakieś 20 minut i te kobiety, które pracują, wymaszerowują do fabryki. Czasem uda się zapalić papierosa i siadasz za maszynę do szycia.

A jak ktoś nie umie szyc?

Tam jest takie powiedzonko: „nie umiesz – nauczymy, nie chcesz – zmusimy”. Odmowa szycia albo niska wydajność owocuje tym, że dostajesz dodatkowe dyżury w kolonii przy sprzątanii i innych pracach typu rozładowywanie samochodów z kartoflami, noszenie ciężkich skrzyń itp. A poza tym obowiązuje odpowiedzialność kolektywna. Jeśli brygada ma niski procent wykonania normy, to są kłopoty. Tam jest wiele kobiet z wysokimi grzywnami, z alimentami na dzieci, więc potrzebują zarobić pieniądze. Praca jest jak na taśmie, to znaczy: nie szyjesz sama jednej kurtki, tylko szyjesz pewien element, a potem przekazujesz kurtkę dalej. Jeśli powoli pracujesz, zatrzymujesz całą brygadę.

Jak więc tobie szło to szycie?

Podjęłam decyzję, że skoro mam relatywnie wysoki wyrok, to moim zadaniem jest wyjść z więzienia z minimalnymi stratami. Zatem jeśli będę dobrze szyła, wszyscy w brygadzie będą mnie dobrze traktować. Kontrolerka jakości wiedziała, że nie robię braków, dostawałam nawet premię, a to jak na polityczną było naprawdę dobrze.

Co dzień o 10.00 i o 20.00 w kolonii odbywa się sprawdzenie tych, którzy są wpisani do tych specjalnych grup nadzoru penitencjarnego, czyli głównie politycznych. Jeśli jesteś w tym czasie w fabryce, funkcjonariusz

przechodzi między maszynami i sprawdza. W południe jest przerwa na obiad. A potem praca do 14.30 i znów apel na placu, jaka by nie była pogoda. I jeszcze może się wtedy odbywać rewizja osobista w przypadku niektórych. To jest szczególnie dotkliwe zimą, kiedy na mrozie każą ci zdjąć czapkę, rękawiczki, waciak i – bywały takie przypadki – nawet buty. Na szczęście miałam swoje ciepłe buty, czapkę i rękawiczki, ale w kolonii wydają takie buty ze sztucznej skóry, które praktycznie w ogóle nie są ocieplone. Stanie w nich na mrozie to niezbyt miłe doświadczenie.

REWIZJA OSOBISTA JEST SZCZEGÓLNIIE DOTKLIWA ZIMA,
KIEDY NA MROZIE KAŻA CI ZDJĄĆ CZAPKĘ, RĘKAWICZKI, WACIAK I –
BYWAŁY TAKIE PRZYPADKI – NAWET BUTY.

O 15.00 wracasz do kolonii i do 16.00 masz tzw. czas wolny, czyli możesz robić, co chcesz: wypić kawę, próbować zrobić pranie itp. A o 16.00 znowu apel i sprawdzenie całego obozu. Od 16.30 zaczynają się zajęcia regulaminowe pod nazwą „Wektor”. Wszystkie kobiety są zganiane do pokoju telewizyjnego i mają tam oglądać program. Nie wolno pisać, nie wolno czytać ani rozmawiać, a ponieważ od 2023 roku wszędzie są kamery, to nic ci nie ujdzie na sucho. O 17.30 – kolacja. A o 18.00 znów zajęcia regulaminowe – oglądanie telewizji.

To jakieś tortury za pomocą telewizora... A co oni tam pokazują?

Bardzo różne rzeczy. Czasem nawet jakieś zupełnie normalne seriale, niekiedy całkiem interesujące programy z YouTube'a o zdrowiu i higienie albo jakiś edukacyjny kawałek z National Geographic... A często propagandę. Azaronka² i inne takie kawałki.

Od 18.50 do 21.30, kiedy ogłasza się przygotowanie do ciszy nocnej, ma się tak zwany czas wolny. Oczywiście polityczne mają w tym czasie o 20.00 dodatkowo apel i sprawdzenie ich grupy. No i na ten czas przypadają też dyżury przy myciu łazienek, ubikacji, korytarzy... Od 20.00 do 21.30 jest dopiero tzw. czas osobisty. Wtedy możesz się na półtorej godziny przebrać z więziennych łachów w swój dres czy jakieś ubranie, oczywiście musi być czarne, bo kolory są zakazane, i robić, co chcesz: rozmawiać, pić herbatę,

² Ryhor Azaronak to jeden z bardziej zaangażowanych białoruskich dziennikarzy propagandzistów występujących w państwowej telewizji.

pisać listy, czytać, ale też jest to czas na zrobienie prania, jakichś zabiegów higienicznych itd. Tego czasu jest tak mało, że ja listy do rodziców pisałam po kilka dni...

Opowiadano mi, że w obozie działa jakiś klub rozrywkowy, ale politycznych tam nie wpuszczano.

Tak, na rozrywkowe imprezy typu koncerty nas nie wpuszczali. Kryminalne nie miały takich problemów. Przez pewien czas bywały też różne konkursy wiedzy, ale to zarzucono, bo polityczne ciągle wygrywały. Głównie, aż do mdłości, musiałyśmy oglądać filmy o wojnie. Historię operacji Bagration z czasów II wojny światowej, czyli wyparcia Niemców z terenów między innymi Białorusi przez Armię Czerwoną latem 1944 roku, znam na pamięć. Oglądałam program o niej ze cztery razy. Natomiast bardzo lubiłyśmy w niedzielę tzw. klub filmowy. Pokazywany był wtedy jakiś normalny film. Ekstremistkom, czyli politycznym, pozwalano prowadzić dyskusje o nim. To były prawdziwe kulturalne i intelektualne uczyty. Prowadziły te dyskusje Maryna Zołatawa, Ludmiła Czekina, Ira Złobina i Tacciana Kuzina – to był naprawdę wyjątkowy poziom kultury i refleksji. Nawet kryminalne słuchały tego z zainteresowaniem. To był taki promień słońca w tej paskudnej rzeczywistości. To, co teraz opowiadam, może sugeruje, że właściwie w obozie nie jest tak źle, ale to nieprawda...

Jak odnalazłaś się w tym systemie kar i zakazów?

Z jednej strony jestem osobą przytomną i doskonale wiedziałam, że będą mnie obserwować, wiedziałam też czym to grozi: pozbawieniem paczek, widzeń, ograniczeniem sumy na zakupy w więziennym sklepie. No a poza tym lubię porządek i dla mnie przestrzeganie ustalonego regulaminu nie jest trudne. Z drugiej strony trzeba zdawać sobie sprawę, że jeśli będą chcieli przykleić ci naruszenie regulaminu, to to zrobią, żebyś nie wiem, jak się starała i chodziła cały czas zapięta na wszystkie guziki.

Jakie były stosunki z więźniarkami kryminalnymi, bo z relacji, które słyszałam i czytałam, bywało różnie.

Do mnie wszystkie odnosiły się dobrze. Wiem, że bywało inaczej, ale ze mną po prostu tak nie było... Nawet mnie nie nazywano Iżą. Byłam zawsze Iroczką. Nasza Iroczka Słaunikawa. Nigdy nikomu nie starałam się zrobić jakiegoś świństwa albo czegoś, co mogłoby tak zostać odczytane.

Fakt, że nie bardzo mogłam pomagać, ale jakimś słowem czy gestem zawsze próbowałam. Wiele chyba zależy od cech osobistych. Oczywiście o „pogodzie” w oddziale decyduje głównie funkcjonariusz operacyjny do niego przypisany. Pierwszy z tych, z którymi się zetknęłam, praktycznie mnie nie zauważał, może dwa razy z nim rozmawiałam. Z drugim mieliśmy takie specyficzne stosunki, które ja nazywałam „w rytmie tanga” – czyli dwa kroki do przodu, krok w bok i dwa do tyłu... On był młodszy od mojego syna, ale starałam się zawsze odnosić do niego z szacunkiem, bez sarkazmu. Z trzecim nasze relacje całkiem się nie ułożyły. Od razu, gdy wkroczył na oddział, zakazał więźniarkom kontaktowania się ze mną. „Wiecie, kim ona jest?” – zapytał. „Na jak to kim, to Irocza Sławnikowa” – odpowiedziały dziewczyny. Ale on im wyjaśnił, że jestem zdrajczynią ojczyzny. Kryminalne nawet próbowały mnie bronić i pytały się go, czemu on się mnie tak przyczepił. „A czemu wy jej bronicie?” – pytał wtedy. Odpowiadały: „Nie bronimy jej, szczerze mówimy, że ona jest w porządku, dyżury pełni, jak trzeba, pracuje powyżej normy”.

W KOLONII WYDAJĄ BUTY ZE SZTUCZNEJ SKÓRY, KTÓRE PRAKTYCZNIE
W OGÓLE NIE SĄ OCIEPLONE. STANIE W NICH NA MROZIE TO NIEZBYT
MIŁE DOŚWIADCZENIE.

To nic nie pomagało. W ciągu dwóch tygodni wpisał mi dwa naruszenia regulaminu. To było w lipcu 2025 roku. Już myślałam, że wpakują mnie do karceru, bo wyszło, że naruszenia są bardzo często, skoro dwa na dwa tygodnie. Nawet na komisji, która się w takich sytuacjach odbywa, funkcjonariusze się dziwili, kiedy pojawiałam się znowu po dwóch tygodniach: „Sławnikowa, a co to się takiego dzieje?”. Pierwszy raz zabrano mi widzenie, drugi raz dali dodatkową pracę – sprzątanie terenu. Uznałam, że spróbuję się zwrócić do zastępcy naczelnika obozu, który obiecał, że obejrzy obraz z kamer, żeby zweryfikować zarzuty. Wtedy byłam w naprawdę złym stanie. No bo oprócz kamer wszędzie tam jest jeszcze system donosicieli i wiedziałam, że oglądają każdy mój krok. Ja i tak funkcjonowałam ściśle według regulaminu, a teraz to już do ekstremum. Prosiłam, żeby nie podchodzić do mnie, nie rozmawiać... Czułam się jak żaba pod mikroskopem. Wiedziałam, że zaraz dostanę trzecią karę, a wtedy to już zostanie zaliczona do „złośliwie naruszających regulamin”, co oznacza prawo do jednego krótkiego telefonu na miesiąc, ograniczenie w zakupie

żywności i inne atrakcje. Przygotowana byłam już i na karcer. Miałam przez cały ten czas zasadę, żeby się o nic do nich nie zwracać, o nic nie prosić, ale wtedy poszłam do tego zastępcy naczelnika. W efekcie chyba to on mnie uratował, bo funkcjonariusz operacyjny się odczepił.

Czy śledczy do Ciebie przyjeżdżał? Albo KGB?

Jeszcze w areszcie na Waładarce przychodził do mnie oficer KGB, a przynajmniej tak mówił, że jest z KGB, bo oczywiście żadnego dokumentu nie przedstawił. Inaczej by go jednak nie wpuścili do mnie. Nazywał się Artur czy Timur... jakoś tak nietypowo. Powiedział mi, że wyrok oczywiście dostanę, ale mogę go znacząco zmniejszyć, jeśli odpowiem na kilka pytań. Po pierwsze chciał hasła do mojego komputera, poza tym chciał się dowiedzieć, kto finansuje Białoruskie Stowarzyszenie Dziennikarzy, którego jestem wiceprzewodniczącą, a także kto finansuje Bielsat i która ambasada przewoziła sprzęt do studia Bielsatu. Spytałam go, czy mogę się zastanowić. Powiedział, że oczywiście i że przyjdzie za trzy dni. Trzy dni później pojawił się i ja mu oznajmiłam, że niestety nie mam mu nic do powiedzenia.

ZIMA TO NAJGORSZY CZAS W KOLONII. NIE DOŚĆ, ŻE ZIMNO, TO JEŚLI
PADA ŚNIEG, PŁAC CZYŚCI NIE TRAKTOR, LECZ WIĘZIŃKARKI ŁOPATAMI.
ŚNIEG PAKUJĄ DO WIELKICH WORKÓW I NOSZA JE NA PLECACH
KILKASZT METRÓW DO MIEJSCA SKŁADOWANIA ŚNIEGU.

Do kolonii przyjeżdżał do mnie zastępca szefa GUBOPiK-u i pytał, czy przyznałam się do winy i napisałam prośbę o ułaskawienie, ale w tamtym czasie, a był to 2024 rok, jeszcze nie pisałam takiej prośby. No a przed samym moim uwolnieniem wezwał mnie funkcjonariusz operacyjny i zaproponował podpisanie zgody na współpracę z administracją kolonii. Odparłam: „przecież sam pan rozumie, ja jestem *oktiabryonok*³, pionier, komsomolec... Mnie nie tak wychowano. Już lepiej sobie odsiedzę te osiem miesięcy, które mi zostały”. On mi na to zaczął grozić, że stosunek administracji do mnie może się zmienić, ale powiedziałam mu, że trudno, zaryzykuję. Myślę, że sam nie wierzył, iż uda mu się mnie zwerbować,

3 W czasach ZSRR tak nazywały się dzieci należące do organizacji Oktiabryata (октябрыта), będącej komunistycznym odpowiednikiem zuchów w harcerstwie. Dzieci powyżej dziewiątego roku życia były pionierami.

ale oni pewno mają jakiś plan do wykonania. To było dosłownie na kilka dni przed moim uwolnieniem.

I jeszcze jedno pytanie na koniec: powiedziałaś wcześniej, że więzienie z twojego punktu widzenia jest łatwiej przetrzymać niż obóz kolonię karną. Dlaczego?

Gdy przyjeżdżasz na początku do obozu, to przez pierwsze pół roku raz na dwa tygodnie albo raz na tydzień wzywają cię na rozmowy z psychologiem. Kiedyś psycholożka na takiej rozmowie spytała się mnie, czemu jestem rozdrażniona i niezadowolona za każdym razem, gdy przychodzę na rozmowę z nią.

Odparłam, że jestem niezadowolona, bo mam swoje sprawy, a rozmowa z psycholożką ciągle mnie od nich odrywa.

„No ale przecież tu w kolonii jest lepiej niż w więzieniu” – ona na to.

„Tak? A w czym?” – pytam. „Na oddziale jest sto osób, muszę chodzić do fabryki, szyć, myć ubikacje i obierać dziesiątki kilogramów ziemniaków dla całej kolonii...”

Psycholożka odparła, że w areszcie śledczym też jest po 20 osób w celi.

„Co też pani mówi” – odpowiedziałam jej. „W areszcie śledczym mogłam leżeć cały dzień, niczego nie robić, czytać książki, pisać listy, robić gimnastykę. Byłam przynajmniej zostawiona sama sobie”.

Zresztą każdy pewnie inaczej to odbiera. Ja i w areszcie, i w kolonii zakładałam, jak to sama nazywałam, czapkę niewidkę. Staralam się być maksymalnie niewidoczna, nie kłóciłam się, nie domagałam niczego, nie robiłam awantur, byle tylko nie zwracać na siebie uwagi. Jasne, że nawet takie zachowanie przed niczym ostatecznie nie chroni, bo jeśli z jakiejś przyczyny będzie rozkaz, żeby ci dokopać, to i tak sposób znajdą...

Niemniej znajdować się w otoczeniu sześciu osób, jak w areszcie, albo stu, jak w kolonii, to zasadnicza różnica. Ten ciągły tłum staje się nie do zniesienia. W dodatku musisz wykonywać totalnie absurdalne rozporządzenia, na przykład nosić śnieg w workach... Nie opowiadałam o śniegu?

Nie...

Zima to najgorszy czas w kolonii karnej. Nie dość, że zimno, to jeśli pada śnieg, plac czyści nie traktor, lecz więźniarki łopatami. Śnieg pakują do wielkich worków, takich jak po cemencie, i noszą je na plecach kilkaset metrów do miejsca składowania śniegu, tam go wysypują i jak mrówki

idą z workami z powrotem. Jeśli zima jest śnieżna, to z ulicy prawie nie wracasz do budynku. Nosisz ten śnieg i nosisz. Kiedyś mówię do dziewczyn: „Może zrzucimy się wszystkie i kupimy traktor?”. Jedna ze współosadzonych mi odpowiada: „Iroczka, porzuć nadzieję, traktor tu jest, ale to my mamy cierpieć”. Kiedy do kolonii przyjeżdżała pani Wolha Czuprys, zastępczyni szefa administracji Alaksandra Łukaszenki, to dwa dni z calusieńkiego terenu obozu odbijałyśmy lód z piaskiem, który się utworzył. Przyszliśmy z fabryki, odbył się apel, dostałyśmy łomy, łopaty, worki i cała kolonia dwa dni czyściła każdy metr, żeby pani Czuprys była zadowolona.

JEŚLI BĘDĄ CHcieli PRZYKLEIĆ CI NARUSZENIE REGULAMINU,
TO TO ZROBIA, ŻEBYS NIE WIEM, JAK SIĘ STARAŁA I CHODZIŁA
CAŁY CZAS ZAPIĘTA NA WSZYSTKIE GUZIKI.

Ponadto w kolonii obowiązuje system odpowiedzialności zbiorowej. Ktoś coś przeskrobał i cały oddział musi wyjść na dwór i przez godzinę czytać regulamin. Znasz to wszystko na pamięć i na wrywyki, jesteś zapięta regulaminowo na wszystkie guziki, ale to na nic, bo i tak tam stoisz i czytasz w kółko te punkty. Albo: któremuś z funkcjonariuszy coś się nie spodobało i każe wynieść absolutnie wszystkie torby i pudła z kapciorki.

Dokąd?

Na dwór.

I co dalej?

A nic. Wynosisz te pudła. Stoisz, czekasz... a godzina, o której musisz iść do fabryki, nieuchronnie się zbliża. I na pół godziny do rozpoczęcia zmiany strażnik mówi: „No dobra, możecie zabierać swoje pudła”. I znów sto kobiet dźwiga cały swój dobytek w szalonym pośpiechu do małego magazynku, a ty – jako polityczna – musisz dodatkowo w tym zamieszaniu wpakować swoje rzeczy w ostatnią wnękę pod sufitem. No i musisz zdążyć na wymarsz do pracy, żeby nie zostać ukaraną.

Nie ma najmniejszego sensu udowadnianie, że miałaś rację albo byłaś niewinna. Bo jak zaczniesz udowadniać, to już koniec. Masz kolejny raport, kolejną karę. Musisz ugryźć się w język i wszystko znieść. Jesteś istotą absolutnie, do szczytu pozbawioną jakichkolwiek praw.

Mogę przytoczyć przykład: jedną z kar dostałam, gdy miałam dyżur przy sprzątanii terenu. Przychodzi funkcjonariusz i mówi: „Dyżurna od sprzątanii terenu – bierzemy sprzęt i wychodzimy”. Tak jak zawsze. No to wyszłam. To było w czasie regulaminowego oglądania telewizji, ale ja miałam dyżur, wypełniałam swoje obowiązki. I za to, że nie brałam udziału w zajęciach regulaminowych, dostałam karę. Przy czym dwie inne więźniarki, które były razem ze mną, kary nie dostały... Kolonia karna i sprawiedliwość to pojęcia całkowicie przeciwstawne.

Rozmowę przeprowadziła Agnieszka Romaszewska-Guzy.